

NIEZWYKŁE ODKRYCIA I PODRÓŻE

# Gdzie się rodzi Nowy Rok?

Kto jako pierwszy na świecie powinien wznosić symboliczny toast w noc sylwestrową i zobaczyć świt Nowego Roku? Według brytyjskich naukowców z Obserwatorium Astronomicznego w Londynie są to rosyjscy pogranicznicy z bazy na Wielkiej Diomedzie w cieśninie Beringa.



Strażnica nr 2254  
na wyspie  
Wielka Diomedea

JACEK PAŁKIEWICZ

Kiedy w 1522 r. załoga Victorii, jedynego statku z wyprawy Magellana, po opłynięciu z zachodu na wschód kuli ziemskiej dotarła na Wyspy Zielonego Przylądka o jeden dzień później, nikt – pomimo skrupulatnie prowadzonego dziennika pokładowego – nie potrafił tego wyjaśnić. Podobnie zaskoczony był słynny angielski korsarz Francis Drake, kończąc rejs dookoła świata w niedzielę 26 września 1580 r.: dowiedział się, że jest już poniedziałek 27 września. Na tożsamy fenomen natknął się także Fileas Fogg, bohater książki Juliusza Verne'a.

## Południk zerowy i strefy czasowe

Podobne historie nie wywołują dzisiaj żadnego zdezorientowania, bo już w 1884 r. wyklarowała to Międzynarodowa Konferencja w Waszyngtonie, na której przedstawiciele większości państw rozwiniętych świata porozumieli się, że początkowym południkiem dla obliczeń długości geograficznej i czasu na Ziemi będzie przechodzący przez Królewskie Obserwatorium Astronomiczne w Greenwich południk zerowy, rozdzielający planetę na część wschodnią i zachodnią. Wtedy też pojawiła się tzw. linia zmiany daty (International Date Line), wyimaginowana linia, która w dużym uproszczeniu ciągnie się wzdłuż 180° południka, nie licząc kilku odchyłek mających na celu uniknięcie rozdzielenia na dwa różne dni Alaski czy Syberii. Wyznacza ona umowną granicę pomiędzy dniem wczorajszym i jutrzejszym. Po jej przekroczeniu ze wschodu na zachód, czyli niejako „goniąc” zachodzące słońce – opuszcza się jeden dzień w kalendarzu. Swego czasu wyleciałem samolotem z Alaski na Kamczatkę w sobotę wieczorem i po kilku godzinach byłem na miejscu, stwierdzając, że

zgubiła mi się niedziela, bo tam był już poniedziałek rano. Jeśli podróżuje się w kierunku odwrotnym, wówczas powtarza się dwa razy tę samą datę. Pamiętam, jak dużym przeżyciem okazał się dla mnie transpacyficzny rejs z Tokio do Nowego Jorku. Wyruszyłem we wtorek o 14.00, a przybyłem do celu w poniedziałek o 13.00.

Zjazd w Waszyngtonie wyznaczył także 24 strefy czasowe (15 stopni każda). Oznacza to, że co jeden stopień długości geograficznej czas słoneczny zmienia się o 4 minuty. Gdy w Polsce jest godzina 12.00, to w Londynie jest dopiero 11.00, a w Ukrainie – już 13.00. Jeśli samolot z Moskwy do Warszawy startuje o 18.40, to i ląduje o tej samej godzinie, bo w ciągu dwóch godzin lotu pokonuje dwie strefy czasowe. W państwach o bardzo dużej powierzchni, jak np. Stany Zjednoczone, Kanada czy Rosja, obowiązuje kilka stref czasowych, chociaż Chiny pozostawiły u siebie tylko jedną, mimo że kraj rozciąga się na długości 5700 km.

Podobno jako pierwsi świętowali Nowy Rok mieszkańcy starożytnej Mezopotamii, 4000 lat temu. Od tamtej pory niemal każdy kraj wypracował swoje własne niepowtarzalne zwyczaje związane z tym faktem. Przełomowym okazał się dopiero rok 1563, kiedy król Francji Karol IX zdecydował się wyznaczyć w kalendarzu początek nowego roku na dzień 1 stycznia. Sto lat później podjął to car Piotr I, aby bardziej europeizować Rosję. W dalszej kolejności to samo zrobili Anglicy i Polacy, którzy o północy składali sobie wzajemne życzenia dostatku, zdrowia i wszelkiej szczęśliwości. Sukcesywnie zwyczaj zabawy w ostatni wieczór grudnia spopularyzowała arystokracja i bogate mieszczaństwo francuskie.

Niektóre kultury i religie celebrują dodatkowo początek roku w inne dni niż 1 stycznia. Wyznawcy prawosławia posługujący się kalendarzem juliańskim robią to 14 stycznia. Chiński Nowy Rok

uczyniony jest oficjalnie przez miesiąc rozpoczynający się pod koniec stycznia lub na początku lutego. Wielorakie kultury azjatyckie fetują ten dzień zgodnie z lokalnym kalendarzem księżycowo-słonecznym.

## Impreza wszech czasów

W grudniu 1999 r. świat szykował się, aby uroczystie obchodzić Nowy Rok, Nowy Wiek i Nowe Tysiąclecie. To tak silnie działało na naszą wyobraźnię, że byliśmy skłonni wiązać ten stan rzeczy z magiczną formułą otwierającą nową erę. Spierano się, kto i gdzie na naszym globie przywita ten moment jako pierwszy. Wiadomo było, że to musi być miejsce najbardziej oddalone na wschód od Greenwich, a jednocześnie najbliższe tzw. linii zmiany daty, po jej zachodniej stronie. Media umiejętnie podnosiły temperaturę przygotowań, aby świat mógł przeżyć ekscytujące wydarzenie. Globalny prymat był zbyt wielką pokusą, by tego nie wykorzystać.

Roszczenia o pierwszeństwo zasygnalizowało wówczas położone w sercu Polinezji małe Królestwo Tonga, 170 małych koralowych wysp z białymi plażami. Niezależnie jeszcze falą konsumpcjonizmu i masowej turystyki, dumnie reklamujące się jako „kraj, gdzie zaczyna się czas”, przesunęło przebiegłe strefę czasową, co przełożyło się na bezpłatną reklamę w światowych mediach. To samo zrobiła Samoa. Wpisem do publikacji Guinnessa mamili także położone na Pacyfiku wyspy Kiribati, które z komercyjną operatywnością już kilka lat wcześniej przesunęły o 3 tys. km na wschód granicę nowego dnia. „Mamy wyjątkową szansę, której nie możemy zmarnować. Być może już nigdy więcej świat o nas nie usłyszy” – tłumaczyli rządzący tym krajem. Tam też pewne polskie biuro podróży zapewniało swoim klientom spędzenie noworocznej imprezy. Dokładniej

rzecz ujmując – w swojsko brzmiącej osadzie Poland na Kiritimati, największej wyspie Kiribati.

Jeszcze ciekawostka dla łowców rekordów. Biuro podróży Fly4Free zapowiadało swego czasu dwukrotną szampańską zabawę, toasty i życzenia o północy. Chodziło o spędzenie sylwestra w Sydney i obejrzenie jednego z najbardziej spektakularnych pokazów fajerwerków na tle Opery w Sydney. Potem zaś, o 1 w nocy należało wsiąść w odrzutowiec kierujący się na wschód, do Honolulu na Hawajach, aby „odzyskać” kilkanaście godzin (dolatuje się tam po 9 godzinach i 40 minutach lotu, czyli 31 grudnia o 14.40). Drugi raz w ciągu ostatniej doby roku można zatem rozpocząć przygotowania do sylwestrowego szaleństwa.

Ale cenowo bezkonkurencyjna jest inna destynacja. Można wybrać się do norweskiego Tromsø, stamtąd samolotem do odległej o 270 km miejscowości Kaaresuavanto w północnej części Finlandii, na granicy ze Szwecją. Tam o północy można rozpocząć sylwestrowy event, a po złożeniu życzeń przejść przez most, aby w szwedzkiej osadzie Karesuando jeszcze przez 40 minut radować się starym rokiem.

Symboliczne „kosmetyki” wysp Oceanu Spokojnego, różniące się od ustaleń konwencji waszyngtońskiej z 1884 r. nie przekonywały jednak geografów, którzy upatrywali początek dnia na istnym „końcu świata” – wśród zagubionych lodów Cieśniny Beringa.

## Wyprawa do Czukockiego Okręgu Autonomicznego

Latem 1999 r., na kilka miesięcy przed powitaniem trzeciego milenium, mediolańska redakcja „Sette”, ilustrowanego suplementu „Corriere della Sera”, z którą byłem od lat związany, postanowiła mnie wysłać właśnie w okolice tej

cieśniny. Dzięki moskiewskim koneksjom i patronatowi samego Edwarda Szewardnadze, zdobyłem zgodę na odwiedzenie tajemniczej wysepki, którą Rosjanie zwą Ratmanowa. Wprawdzie została odkryta ponad trzy wieki temu, ale zapomniana przez Moskwę i Boga dla świata wciąż stanowi białą plamę. „To tak jak wygrać w totolotka, bo praktycznie nikomu wcześniej nie udało się tam dostać” – odnotował tygodnik „Itogi”.

Moja podróż z Moskwy do Anadyru trwa 11 godzin, ale okazało się, że trzeba też liczyć na pomyślny obrót spraw, aby osiągnąć strażnicę „off limits”, na najdalszych rubieżach tego kraju. Czukocki Okręg Autonomiczny, niegdyś miejsce doły roku można zatem rozpocząć przygotowania do sylwestrowego szaleństwa. Ale cenowo bezkonkurencyjna jest inna destynacja. Można wybrać się do norweskiego Tromsø, stamtąd samolotem do odległej o 270 km miejscowości Kaaresuavanto w północnej części Finlandii, na granicy ze Szwecją. Tam o północy można rozpocząć sylwestrowy event, a po złożeniu życzeń przejść przez most, aby w szwedzkiej osadzie Karesuando jeszcze przez 40 minut radować się starym rokiem.

Symboliczne „kosmetyki” wysp Oceanu Spokojnego, różniące się od ustaleń konwencji waszyngtońskiej z 1884 r. nie przekonywały jednak geografów, którzy upatrywali początek dnia na istnym „końcu świata” – wśród zagubionych lodów Cieśniny Beringa. Tradycyjnie kapryśna aura nie ułatwia tutaj podróżowania, a wysokie koszty trzeba pokryć także za długoczasowe postoje śmigłowca. „Taka pogoda pod koniec sierpnia to tutaj normalność, potrafi zmienić się kilka razy w ciągu jednej godziny” – uspokaja mnie Sierioża, lotniskowy mechanik. Trzeciego dnia wylatuję do Ławrientija, bazy wielorybniczej zamieszkałej przez Czukczów. Jednakże nieprzenikniona mgła nakazuje lądowanie w Prowidienija, co zmusza do biwakowania na zaimprovizowanym lotnisku. Nieoczekiwanie pojawia się

dwa panów z FSB, aby sprawdzić, czy posiadam odpowiednie pozwolenie. Kiedy pokazuję list żelazny na blankiecie dowódcy Wojsk Granicznych Federacji Rosyjskiej, oznajmiają, że to wątpliwy dokument, bo brak jest na nim pieczęci i ten papier mogą wykorzystywać tylko w... toalecie. Potrzeba było całej doby, aby połączyć się moim telefonem satelitarnym z Moskwą, gdzie zapewniono, że pismo jest właściwe, bo posiada wytłoczony herb. Mimo wszystko zostanie wysłana informacja do sztabu w Pietropawłowsku Kamczackim. Potwierdzenie dotarło po 48 godzinach, podczas gdy w każdej chwili zanosiło się na aresztowanie.

Lecimy nad dzikim pustkowiem w stronę Przylądka Dieżniewa, najdalej na wschód wysuniętego skrawka Azji. Nad nami pułap ciężkich kłębiastych chmur, po prawej stronie ciemne wody Cieśniny Beringa, a z lewej – tundra i górzyste stoki. Wkrótce osiągamy słynny przylądek, skalisty wysunięty na kilka kilometrów od Alaski. Po niespełna pół godzinie lotu podwozie transportowego helikoptera MI-8 dotyka skalistej powierzchni.

Wyspa o długości 8 i szerokości 4,5 km robi wrażenie dziewiczej, nigdy niezamieszkałej przez człowieka. Miejscami, tam gdzie występuje wątra warstwa gleby, widoczne są porosty i mchy. Do 1947 r. żyli tu jednak Inuici, którzy zostali przesiedleni na „matierik”, czyli kontynent. Na ich miejsce pojawił się 30-osobowy oddział straży granicznej, którego zadaniem jest „przeciwdziałanie nielegalnej migracji”. „Najczęstszymi sprawcami naruszenia granicy oka-

zują się niedźwiedzie polarne – precyzuje Wasilij. – Raz nawet trzeba było w obronie własnej zastrzelić agresywne zwierzę”. Kroniki z dawnych lat wspominają o kilkudziesięciu przypadkach przewinień alaskańskich autochtonów zapuszczających się tu na polów morsów.

Z zachodniego brzegu można dostrzec wzrokiem odległą o 4 km wyspę Mała Diomedda, należąca do Stanów Zjednoczonych. Przez lornetkę widać jak na dłoni niepozorną osadę Ingaluk, zamieszkaną przez kilkadziesiąt inuickich rodzin i skupiającą kolorowe domki, szkołę, sklep i kościółek katolicki. Często pojawiają się tam hydroplany, łodzie motorowe czy helikoptery dostarczające środki egzystencji.

### Rosyjscy pogranicznicy i świt Nowego Roku

Kiedy patrol rosyjskiej formacji ochrony granic w poniedziałkowy ranek udaje się na obchód, wspólnota na bliźniaczej wyspie szykuje się dopiero do niedzielnych modłów. Wojskowi „widzą” gołym okiem poprzedni dzień, ich sąsiedzi zaś – dzień następny i ludzi żyjących już w przyszłości. Między Wielką Diomeddą (169°00'39" długości geograficznej wschodniej) i jej kuzynką przebiega odległa o 2 km tzw. linia zmiany daty. „Gdyby rozważać ją według tradycyjnego konceptu – twierdzą brytyjscy naukowcy z Obserwatorium Astronomicznego w Londynie – to każdy nowy dzień naszej Ziemi rodziłby się właśnie tutaj i to rosyjscy żołnierze jako pierwsi na świecie dostąpiliby zaszczytu wzniesienia symbolicznego toastu sylwestrowego i bycia pierwszymi, którzy ujrzą świt Nowego Roku”. Najdłużej „starym rokiem” cieszą się mieszkańcy wyspki Attu w Archipelagu Aleuckim, gdzie uskok tzw. linii zmiany daty sięga 172. południka. W konsekwencji dzień opóźnia się tam o 25 godzin i 16 minut.

Mój przyjazd jest nieblahym wydarzeniem dla złaknionych kontaktu i informacji pograniczników całkowicie odciętych od świata. Kryzys ekonomiczny kraju odbił się wyraźnie także w armii. Kiedyś był zapewniony regularny kontakt ze stałym lądem, obecnie śmigłowiec z zaopatrzeniem i pocztą przylatuje sporadycznie. „Żywność jest podła – skarży się Giennadij. – Posiłki składają się zwykle ze sproszkowanych ziemniaków, kaszy, suszonej ryby i konserw. Słonina jest delikatesem. Latem naszą dietę wzbogacamy o roślinność zebraną w tundrze albo o grzyby czy jajka znalezione w gniazdach ptaków”.

Niebezpiecznie jest też chorować. Kilka lat temu wezwano lekarza do chorego na wyrostek robaczkowy. Kiedy z powodu mgły pilot nie mógł wylądować, dowódca zwrócił się do amerykańskiej Gwardii Brzegowej, która przetransportowała nieszczęśnika do swojego szpitala. Fakt ten ujrzał światło dzienne dopiero wtedy, gdy do Moskwy dotarł rachunek opiewający na 5 tys. dolarów.

### Rosyjskie Guantanamo

Bardzo negatywnie na postawy i nastroje wojskowych wpłynęła „pruska dyscyplina” wprowadzona przez dowódcę, porucznika Aleksandra Szcerbakowa. Jak donosiła kilka miesięcy przed moim przybyciem gazeta „Czerwona Gwiazda”, organ ówczesnego Mini-



Amerykańska osada Ingaluk na Małej Diomedzie



Rozładunek przywiezionej żywności



Widok na amerykańską Małą Diomedę

sterstwa Obrony Narodowej, komendant, wsparty przez trzech podoficerów, zamienił jednostkę w rosyjski odpowiednik amerykańskiej bazy wojskowej Guantanamo na Kubie, znanej z tortur wobec islamskich ekstremistów. Szcerbakow za najdrobniejsze błędy czy uchybienia wcielał niezgodne z prawem sposoby karania szeregowców. Zaczął od wprowadzania niemalże głodowej diety, aby wyróżnić „powstały nie z jego winy duży niedobór produktów”. Potem doszła kara represyjna: zakaz posiłku przez 24 godziny. Zwierzchnik nie stronił od torturowania – potrafił przez godzinę trzymać na mrozie na pół rozebranego żołnierza, bywało, że bił kablem po piętach, podwieszał podwładnego za ręce do sufitu i okładał go niczym worek bokserski. O tej historii nikt by się prawdopodobnie nie dowiedział, gdyby nie śmierć jednej z ofiar Szcerbakowa. W sądzie oskarżony tylko częściowo przyznał się do winy, wyjaśniając sadyistyczne podejście koniecznością „przywrócenia posłuchu na placówce”. Sąd wojskowy skazał go na 15 lat pozbawienia wolności, a trzech pozostałych sprawców na jeszcze większe wyroki.

Garnizon robi na przyjeźdnym przygnębiające wrażenie. Budynek koszarowy nosi ślady pożaru i jest w oplakany stanie, wokół mnóstwo walającego się żelastwa i zardzewiałych beczek po paliwie. Ciepła woda to luksus, środowisko – trudne z powodu długotrwałej izolacji i jednostajności otoczenia. Czas wolny można spędzić w świetlicy, oglądając zwykle kiepskiej jakości obraz moskiewskiej telewizji lub filmy z kaset wideo, pograć w ping-ponga lub poświęcić w zaimprovizowanej siłowni. Od czasu do czasu, kiedy uda się wyłowić z morza jakieś pnie drzew, pogranicznicy rozpalają tradycyjną banie, parową łaźnię będącą świętością Rosjan.

Przez 300 dni w roku wyspa jest spowita gęstą mgłą. W grudniu słońce pojawia się tylko na trzy godziny. Nastają siarczyste mrozy i hulające śnieżne sztormy. Na wiele miesięcy placówka zostaje zasypana śniegiem i trzeba kopać labirynt korytarzy łączących poszczególne obiekty. Natomiast podczas polarnego lata słońce nie zachodzi wcale, ale wtedy nie dają wytchnienia dokuczliwe komary, których – jak mówią zoolodzy – bywa nawet trzy kwintale na jeden hektar powierzchni.

Skrajnie nieprzyjazne warunki życia dają się we znaki, potrafią być mordercze. Kilka lat temu jeden z żołnierzy zabił w mgłę i osunął się do morza. Jego ciało znaleziono tydzień później nieopodal siedliska morsów. W 1996 r. rozbił się we mgłę helikopter, zginęło pięć osób. Giennadij, który teoretycznie zakończył swoją służbę już dwa miesiące temu, zabierze się w rodzinne progi, korzystając z mojego środka lokomocji. Powodów do frustracji nie brakuje. „To koszmar. Odbiera radość życia, a do domu w Moskwie prawie 8 tys. kilometrów” – zauważa markotnie Leonid.

Moje myśli ulatują gdzieś na wyspy odległego Pacyfiku, wspominam malownicze widoki, dziewicze plaże, lazur oceanu, zachwycające rafy koralowe z bogatą fauną. I wcale się nie dziwię, że świat woli właśnie tam obchodzić noworoczną imprezę. /©©

Autor jest członkiem rzeczywistym Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie